



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wanda Magdalena Zacna z d. Waclawek

## Pamiętam zimno i głód...

Urodziłam się w 1934 roku w Warszawie. Rodzina moja od 1935 roku mieszkała na osiedlu Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Rakowiec przy ul. Pruszkowskiej 6. Ojciec – Henryk Waclawek pracował jako tokarz precyzyjny w Państwowych Zakładach Lotniczych na Okęciu. Mama prowadziła gospodarstwo domowe. Tata dobrze zarabiał, toteż oprócz spółdzielczego mieszkania rodzice posiadali działkę w Sękocinie, gdzie miało być osiedle domków jednorodzinnych dla pracowników PZL Okęcie. Niestety, wybuch II wojny światowej pokrzyżował wspaniałe plany naszej rodziny.

Tata ze względu na miejsce swojego zatrudnienia nie uczestniczył w działaniach wojennych. Dopiero kiedy Niemcy znaleźli się pod Warszawą, razem z wieloma innymi mężczyznami wyjechał na wschód, gdzie miał być zorganizowany drugi front. Doszedł do Kowla. W czasie okupacji hitlerowskiej nie stawiał się do pracy w PZL, ponieważ zakłady prowadziły produkcję na potrzeby wojsk niemieckich. Pracował dorywczo między innymi jako drukarz w Grodzisku Mazowieckim, w drukarni swojej siostry Sabiny Jodkowskiej. Po upadku Powstania Warszawskiego został wywieziony przez Pruszków do KL Auschwitz (nr obozowy 192481), potem do Buchenwaldu, a następnie pracował w niemieckim obozie kolejowym (ruchomym), naprawiając tory bombardowane przez aliantów.

Powstanie Warszawskie spędziłyśmy u krewnych i znajomych, ponieważ nasze mieszkanie w Warszawie uległo spaleni. Tuż przed wyzwoleniem mama, moja siostra Katarzyna i ja zamieszkałyśmy w Michałowicach, w biednym domku, a właściwie w szopie.

Okres okupacji był dla nas znośny. Czas spędzony w Grodzisku Mazowieckim też nie był tragiczny – jadłyśmy często na stacji kolejowej bezpłatne obiady w RGO. Dopiero po wyprowadzeniu się stamtąd zaczęły się głód i zimno. Zima była wyjątkowo ciężka. Utrzymywałyśmy się z handlu cukierkami i papierosami. Kupowałyśmy je z mamą w Milanówku, w firmie Pomorskiego, gdzie produkowano słynne krówki, a ja sprzedawałam je w kolejce EKD. Mama sprzedawała chleb w Opaczy, bo warszawiacy wracali już w tym czasie do stolicy (od Opaczy był uruchomiony parowóz na linii EKD).

Z okresu mojego dzieciństwa najlepiej pamiętam zimno i głód. Do dzisiaj wspominam puszkę boczku amerykańskiego oraz kaszę jaglaną, którą mama moja dostała od kogoś z UNRRY. Łapałyśmy także kuropatwy (na deseczce zamontowane były pętelki z włosa końskiego). Mama nauczyła się robić mydło, które sprzedawałam jako 10-latka w okolicznych wsiach. Przypominam sobie rozpacz, kiedy po przeprawie przez rzeczkę Raszynkę paczka z mydłem wpadła mi do wody.

W tamtych czasach nosiłam drewniane obuwie ze sztywnymi podeszwami. Od mrozu pozostały mi do dzisiaj plamy na twarzy i nogach. Z głodu dostałam wrzodów, które leczyło się wtedy okładami

z tartego ziemniaka. Z utrzymaniem czystości też chyba nie było najlepiej, bo pamiętam jak mama wykladała nasze ubranie na noc na mróz, aby zabić wszy, które na skutek braku właściwej higieny zaczęły nas atakować.

Na czas naszego handlowania sistra, która miała 6 lat, była zamykana w naszym bieda-domku. Jego ściany wylepiane były gazetami. Miałyśmy taką zabawę, że zawsze rano tłukłyśmy młotkiem „za tatę” znaczek pocztowy z wizerunkiem Hitlera, aż w końcu wybiłyśmy dziurę w ścianie.

Dzięki Bogu tata powrócił z niewoli. Oswobodzony został przez wojska amerykańskie w Innsbrucku. Przez pewien czas nie pozwolono mu wracać do kraju. Przyjechał do Polski transportem Polaków urodzonych we Lwowie, w oddzielnym wagonie dla obywateli ZSRR.

Po powrocie taty i odbudowie bloków na Rakowcu sytuacja poprawiła się do tego stopnia, że mogłam iść do szkoły. Potem skończyłam studia z tytułem magistra ogrodnictwa. Pomimo panującej w domu biedy rodzice pozwolili mi studiować. Ubrania szły się samemu. Ciepły płaszcz miałam tylko jeden przez pięć lat nauki, kupiony zresztą na raty. Żywiłam się na studiach za darmo (zupa z chlebem) w stołówce studenckiej, a w każde wakacje pracowałam na życie w ośrodkach ogrodniczych. Mama po wojnie zaczęła chorować, przez dziesięć lat była całkowicie sparaliżowana (według lekarzy to skutek stresów wojennych i niedożywienia). Tata opiekował się nią do jej śmierci.

Czasem zastanawiam się, jak to by mogło być, gdyby Niemcy nie napadli na Polskę. Myślę, jak moi kochani rodzice zrealizowaliby swoje marzenia – kupno domku na wsi i żyliby długo z dobrych emerytur. Tymczasem wojenny stres zostawił w nich ranę na całe życie. Spowodował, że okres okupacji wspominali zawsze ze strachem i rozpaczą.